Jack London

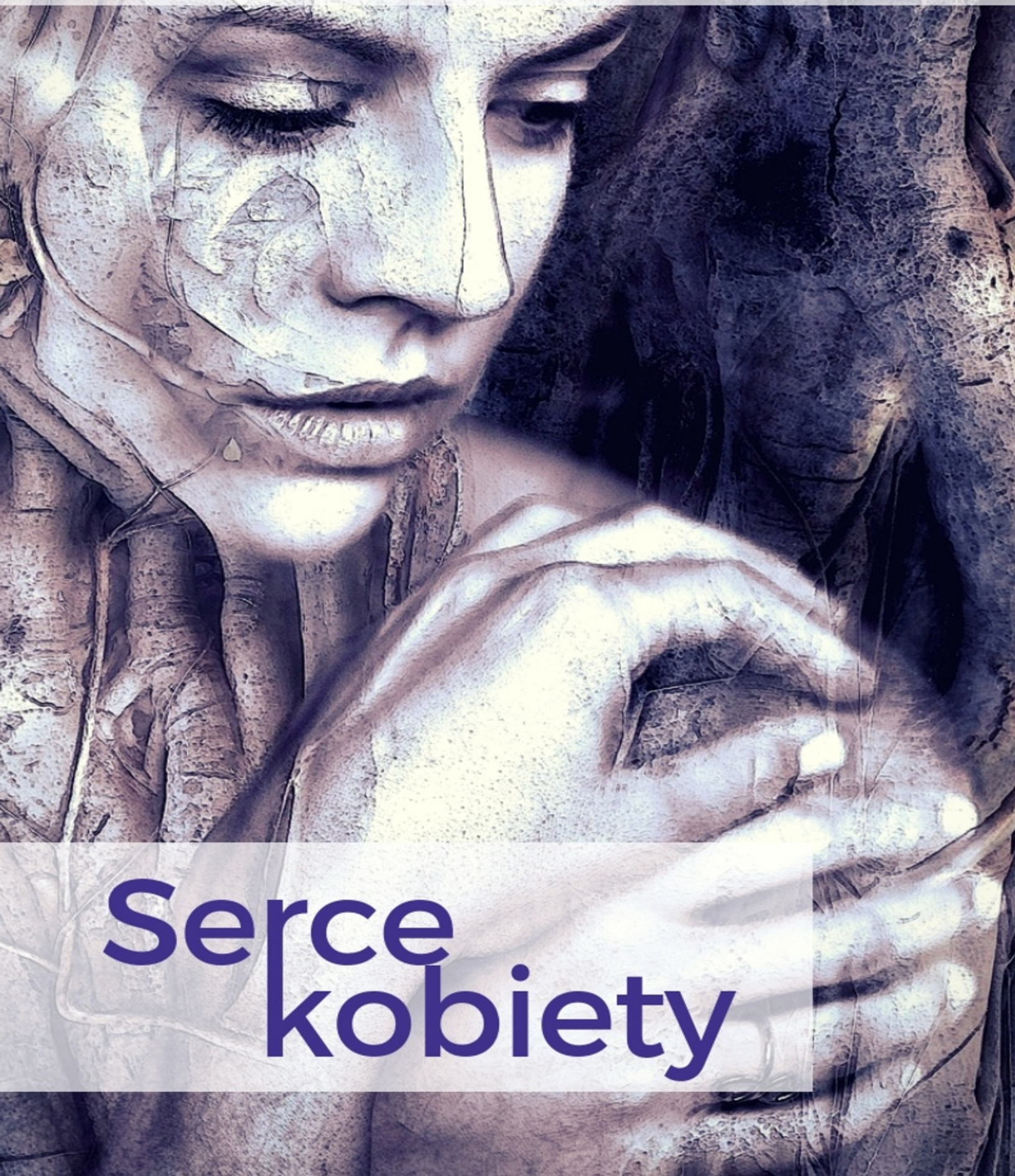

Serce kobiety

Jack London

Serce kobiety
zbiór opowiadań

Wersja Demonstracyjna

Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2018

Jack London
„Serce kobiety”

Copyright © by Jack London, 1925
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2018

Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania
lub edytowania tego dokumentu, pliku
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.

Tekst jest własnością publiczną (public domain)

ZACHOWANO PISOWNIĘ
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.

Skład: Adam Brychcy
Projekt okładki: Adam Brychcy
Druk: Zakł. Graficzne „Drukarnia Bankowa”
Wydawnictwo: E. Wende i Spółka
Warszawa, 1925

ISBN: 978-83-8119-456-3

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706
http://www.psychoskok.pl/
http://wydawnictwo.psychoskok.pl/
e-mail:wydawnictwo@psychoskok.pl

SERCE KOBIETY

Lśniącooki, ośnieżony łeb wilczara wsunął się ostrożnie, unosząc połę namiotu.

— Hi! Chook! Siwash! Szatańskie plemię! — zaprotestował chór ludzki z głębi schroniska. Bettles cisnął polanem i zwierzę cofnęło się skwapliwie. Louis Savoy umocował ponownie płócienne ścianki, odsunął patelnię na brzeg piecyka i począł grzać ręce. Bardzo zimno było na dworze. Czterdzieści osiem godzin temu, termometr spirytusowy pękł na sześćdziesiątym ósmym stopniu poniżej zera, od tego zaś czasu mróz brał coraz silniejszy, coraz bardziej gorzki. Niepodobna było przewidzieć, kiedy pofolgują okrutne kleszcze. Pomysł nocowania przy takiej pogodzie zdaleka od ciepłej izby i wdychania w płuca łyków lodowatej atmosfery — nie należy do najprzedniejszych, chyba, że zrządzą tak bogowie. Ludzie ważą się niekiedy na podobne rzeczy, i zazwyczaj kończą wówczas odmrożeniem płuc. Przychodzi suchy, ostry kaszel, szczególnie męczący w pobliżu dymu smażonej słoniny. Tegoż lata lub jeszcze na wiosnę dobrzy ludzie wypalają wielki dół w zmarzłej ziemi i składają tam zwłoki, okryte mchem troskliwie. Mogą być pewni, że aż do chwili, gdy zawezwie je trąba Archanioła — pozostaną całe i nienaruszone. Jednakże śmiertelnych małej wiary, którzy zapatrują się sceptycznie na udział powłoki ziemskiej w rozstrzygającym dniu Sądu Ostatecznego, uprzedzić należy, iż Klondike nie jest krajem godnym polecenia dla dokonania w nim aktu śmierci. Nie należy jednak rozumieć przez to, że kraj ów odpowiedni jest dla procesu życia.

Bardzo zimno było na dworze, lecz wcale nie zaciepło w namiocie. Jedyną rzeczą, mogącą podpadać pod nazwę umeblowania, był piecyk żelazny, któremu podróżni okazywali swe nieustające i niehamowane zainteresowanie. Część „podłogi" usypana była gałęźmi choiny, na których porozkładano futrzane worki do spania, pod niemi zaś leżała pierzyna śniegowa, przez całą zimę uściełana. Pozostałą część podłogi stanowił również śnieg, udeptany przez kilka par mokasynów, zarzucony garczkami, patelniami i resztą utensylji polarnego obozowiska. Piec stał rozżarzony jak piekło i cały purpurowy, lecz o trzy stopy od pieca leżała bryłka lodu tak pstra i sucha, jakby przed chwilą wyrąbana w zmarzłem łożysku strumienia. Ciśnienie mrozu, idące z zewnątrz, wypychało ciepło z ludzkiego schroniska. Tuż ponad piecem, tam gdzie rura przetykała daszek namiotu, widać było nieduży krąg wilgotnego płótna, dalej krąg koncentryczny płótna dymiącego, i mniejszy krążek, słabo dyszący wilgocią. Całą resztę namiotu, dach i ściany powlekała warstwa suchych, białych kryształków lodowych.

— Och! och! och! — Młody chłopak, śpiący wśród futer, wychudzony, zsiniały, znużony, wył z bólu i rzucał się we śnie z coraz głośniejszym i bardziej żałośliwym lamentem. Ciało jego, napół wynurzone z pod futer, drżało i miotało się konwulsyjnie, jakby na łożu z pokrzyw.

— Powałkować malca! — rozkazał Bettles. — Wzięło go. — Poczem pół tuzina usłużnych towarzyszy zaczęło tarzać chłopaka, rozcierać, poklepywać i podrzucać z iście bezlitosną życzliwością.

— Przeklęta droga, — zamruczał zcicha, kiedy pozwolono mu nareszcie wydobyć się z rąk oprawców i usiąść. Hartowałem się

na wszelkie możliwe sposoby, zmierzyłem na przełaj całą okolicę, ba, przez trzy sezony uprawiałem nawet bieg na rękach; wędruję nareszcie do tego zakazanego przez Boga kraju i okazuje się, że jestem zniewieściałym ateńczykiem, pozbawionym elementarnych cech męskości. — Zbliżył się do pieca i skręcił papierosa. — O, nie płaczę i nie użalam się nikomu. Potrafię sam dać sobie radę. Ale poprostu wstyd mi. Jestem po głupich trzydziestu milach tak połamany i wycieńczony, jak jaki filister po trzymilowej podmiejskiej wycieczce. Ba! jestem wprost chory! Zapałki są?

— Nie rozpaczać, mały. — Bettles podał skonfiskowane zapałki i nagle stał się patryarchalny w tonie. — Jeszcze nie przepadłeś! — zawołał. — Prujesz się ze zmęczenia? Trudno. A czy ja odpoczywałem przy pierwszej znajomości ze szlakiem? Połamany, powiadasz? Trzeba było widzieć, jakem swego czasu, cały trzeszczący i pobity, dobre dziesięć minut rozprostowywał grzbiet z nad przeręblа! Co? kurcze? Chwyciły mnie kiedyś tak dokumentnie, że pół dnia musiałem popasać, zanim się wyplątałem z ich kleszczy. Jesteś szczeniak, ale węch masz dobry. Poczekaj, od dziś za rok zapędzisz nas, starych, w kozi róg. Na twoją pochwałę muszę jeszcze dodać, że nie nosisz pasa tłuszczu, który już niejednego dzielnego mężczyznę wyprawił przed czasem i przeznaczeniem na łono dziadka Abrahama.

— Pasa tłuszczu?

— A tak. Zwykła rzecz. Dla dużego, tęgiego mężczyzny on właśnie najniebezpieczniejszy jest w podróży.

— Nie słyszałem nigdy.

— Nigdy nie słyszałeś? Gatunek śmierci krótki a węzłowaty

i nie dający się obejść. Wielkie, tęgie ciało dobre jest do jednorazowego potężnego wysiłku, ale niezdatne do nieustającej sprawności. Nie jest odporne, ani wytrwałe. Tak, tłuszcz i wytrwałość nie są w przyjaźni. Weź-no małego, żylastego chłopaka, kiedy uczepi się swego jak pies kości. Hę? dlaczegóż, u djabła, tłusty olbrzym nigdy tak nie potrafi?

— Poczekaj! — przerwał Louis Savoy swoją francuską angielszczyzną. To jest to, co wy nazywać... no, jakże wy nazywać?... aha, pra-wi-dlo! Ja znam jeden czlowiek, co byla wielka, jak byk. Z nim idzie aż ze Sulphur Creek maleńka osoba, wiecie, ten, Lon Mac Fane. Znacie maleńki Lon Mac Fane z czerwona bródka i wlosy? I oni szli, i szli cali dzień dlugi i cala noc dluga. I tlusty czlowiek byl bardzo slaby i dużo leży na śniegu. A maleńki czlowiek ciągnie duża czlowieka, a tamtem placze, placze jak — ach! to co wy nazywacie nie-mow-lę! A maleńki czlowiek wlecze duża czlowieka i wlecze i ciągnie dlugi czas i dluga droga, aż dowlecze do moja izba. I co? już dwa dni jak duży czlowiek zdrowy wylazł z pod moja derka. Nigdy nie patrzalem tak duży czlowiek! O, nigdy. I żywy, chociaż ma dużo to, co wy nazywacie pas tluszczu. Proszę bardzo.

— No, ba! ale to był Axel Gunderson! — zaoponował Stanley Prince. Potężny przybysz ze Skandynawji, o przeszłości omroczonej tajemnicą wielu legend, wywarł swego czasu silne wrażenie na młodym inżynierze. — Teraz odszedł tam, hen... — Wyciągnął rękę w stronę zamglonego Wschodu.

— Największy olbrzym, jaki kiedykolwiek zwrócił stopy swoje ku Słonej Wodzie i rzemień założył na grzbiet jelenia — przeciął Bettles. — Spójrzcie na jego żonę, Ungę, można śmiało nastawić wagi na sto dziesięć — ręczę za same mięśnie, bez

jednej uncji tłuszczu. Siłę ma równą wszystkiemu, co on posiada. Idzie za nim wszędzie i zwiększa jego powodzenie, jeśli to wogóle jest jeszcze możliwe. Niema nic na ziemi, w ziemi, ani pod ziemią, czego nie uczyniłaby dla niego.

— Kocha go — zaoponował znowu młody inżynier.

— Nie o to chodzi. Poprostu...

— Posłuchajcie, bracia — wtrącił Charley z Sitki, siedzący w kącie na skrzynce z żywnością. — Mówiliście o pasie tłuszczu, co wiąże mięśnie dużego mężczyzny, o sile kobiety i o miłości — mówiliście pięknie; lecz ja mam w myśli rzeczy, co zaszły wtedy, gdy kraj był młody, a ogniska ludzkie rzadkie, jak gwiazdy na bladem niebie. Stało się, iż los zetknął mnie z owym pasem tłuszczu, z dużym mężczyzną — i z kobietą. Kobieta była drobna, lecz serce miała większe, niźli jego wielkie bawole serce. I siłę miała prawdziwą. Odbywaliśmy ciężką drogę, właśnie do tejże Słonej Wody. Mróz nastał gorzki, głębokie śniegi i głód okrutny. A miłość kobiety była miłością potężną — cóż więcej powiedzieć może mężczyzna? —

Zamilkł na chwilę i toporem odrąbał parę kawałków lodu z wielkiej kłody, leżącej poza nim. Cisnął bryłki na lśniącą patelnię, stojącą na rozżarzonym piecu, gdzie topniały, rozpływając się w chłodną wodę do picia. Towarzysze zsunęli się bliżej, a chłopak łamany kurczami poszukiwał napróżno wygodniejszej pozycji dla swego udręczonego ciała.

— Bracia, skóra moja czerwona jest od krwi Siwasha, lecz serce moje białe. Z grzechów ojców dziedziczę jedne, z cnót przyjaciół — drugie. Wielka prawda nawiedziła mnie, gdy byłem jeszcze chłopcem: zrozumiałem, że do waszej rasy należy świat, że plemię Siwash nie dorówna wam i wyginąć musi w chłodzie

śniegów, jak ginie niedźwiedź nasz i karibu. Poszedłem więc ku ciepłu, zasiadłem pośród was u ogniska i stałem się jednym z was. Dużo widziałem w życiu. Spotykałem rzeczy dziwne i przebywałem dalekie szlaki z ludźmi wielu plemion. Dlatego dzisiaj czyny mierzę waszą miarą, według was sądzę ludzi i po waszemu myślę. To też jeśli źle mówić będę o człowieku waszej rasy, nie weźmiecie mi tego za złe, kiedy zaś opowiem rzeczy wzniosłe o narodzie ojców moich, nie pomyślicie sobie: „Charley z Sitki pochodzi sam z plemienia Siwash, chytry płomień ma w oczach, a honoru nie zna język jego". Czy nie tak?

Koło słuchaczy poważnym basem wyraziło swą przyjazną zgodę.

— Kobietę zwano Passuk. Nabyłem ją uczciwie od rodzinnego jej plemienia Chilcat, którego znak wznosi się na wybrzeżu Słonej Zatoki wielkiego morza. Serce moje nie rwało ku tej kobiecie i nie wiem nawet, czy była piękną. Bowiem rzadko podnosiła oczy od ziemi i nieśmiała była, a trwożliwa jak zwykle dziewczęta, schwytane w ramiona obcego mężczyzny, którego nigdy przedtem nie widziały. Jak powiadam, nie miałem w sercu swem miejsca, gdziebym ją mógł przygarnąć, gdyż wielka podróż zajmowała myśli moje; potrzebowałem kogoś, kto karmiłby psy na szlaku i wraz ze mną pracował przy wiośle w długie dni na burzliwej rzece. Jedna kołdra starczy na dwoje. Tak więc — wybrałem Passuk.

Czy nie mówiłem jeszcze, żem służył wtedy rządowi? Jeśli nie, chcę teraz powiedzieć o tem. Wzięto mnie więc na pokład statku wojennego, wraz z saniami, psami, żywnością w puszkach i kobietą Passuk. Udaliśmy się na północ, aż do granicy lodów na morzu Beringa. Tam wylądowaliśmy, ja,

Passuk i psy. Dostałem od rządu pieniędzy, gdyż byłem jego sługą, dostałem mapy krajów, po których nie stąpała jeszcze noga ludzka — i paczki.

Paczki te opatrzone były rządową pieczęcią i starannie chronione od wilgoci. Miałem wręczyć je na pewnym statku oceanu Północnego, polującym na wieloryby, a więzionym przez lody przy ujściu wielkiej Mackenzie. Największa to rzeka na świecie, nie licząc naszego Yukonu, Matki Rzek.

Wszystko to zresztą nie jest ważne, albowiem opowiadanie moje nie dotyczy ani statku, polującego na wieloryby, ani zimy wśród gór lodowych, którą spędziłem przy ujściu Mackenzie. Później, na wiosnę, gdy dni stały się dłuższe i cienka skorupa lodowa pokryła śnieg, poszliśmy na południe, Passuk i ja, ku dolinie Yukonu. Droga ciężka, lecz słońce wskazywało kierunek naszym stopom. Kraj był pustynny, jak mówiłem, i płynąć należało przeciw prądowi, robiąc wiosłami i żerdzią. Dobrnęliśmy do Czterdziestej Mili[1]. Dobrze było ujrzeć raz jeszcze białe twarze! Przybiliśmy do brzegu. Ta zima była prawdziwie ciężką zimą. Mróz i ciemności zdławiły nas równocześnie, a wraz z nimi — głód. Agent placówki handlowej dawał na każdego człowieka po czterdzieści funtów mąki i dwadzieścia funtów słoniny. Fasoli nie było. Psy wyły bez przerwy, ludzie mieli brzuchy zapadłe i twarze głęboko poryte brózdami. Silni osłabli, słabi poumierali. W dodatku grasował szkorbut.

Pewnego wieczoru zebraliśmy się wszyscy w sklepiku, gdzie widok pustych półek jeszcze mocniej odczuć nam kazał własną nędzę. Rozmawialiśmy cicho przy świetle ognia na kominie, gdyż świece schowano na pożywienie dla tych, co będą jeszcze

zipać na wiosnę. Rozprawy skończyły się tem, iż jeden z nas musi ruszyć w drogę i dotrzeć do Słonej Wody, żeby dać znać światu o naszej nędzy. Wszystkie oczy zwróciły się ku mnie, gdyż uważany byłem za wielkiego podróżnika. Rzekłem: — Do Misji Haines, co leży na brzegu morza, jest siedemset mil, a każdy krok tej drogi jest ciężką pracą po nietorowanym szlaku. Dajcie mi najsilniejsze psy i najlepszą żywność, to pójdę. A razem ze mną pójdzie Passuk.

Zgodzili się. Nagle wstał niejaki Long Jeff, yankee, człowiek o grubych kościach i mięśniach olbrzyma. Mowa jego nie była krótka. Jest również wielkim podróżnikiem, oznajmił, urodzonym dla szlaku i wykarmionym mlekiem bawołu. Uda się ze mną i — gdybym padł w drodze, — zaniesie sam wiadomość do Misji. Młody byłem i nie znałem jeszcze yankee. Skądże wiedzieć mogłem, że obfita mowa oznacza pas tłuszczu na mięśniach mężczyzny i jakże domyśleć się miałem, że yankee, co naprawdę spełniają wielkie czyny, trzymają język swój za zębami? Tak więc, zabraliśmy najsilniejsze psy i najlepszą żywność i ruszyliśmy we troje — Passuk, Long Jeff i ja.

Tak, bracia, wszyscyście torowali pierwszą drogę po dziewiczym śniegu, robiliście żerdzią,[2] i nie jest wam obca zmarzła kasza lodowa na miejscu letnich rzek; nie wiele więc mówić będę o naszych wysiłkach. Powiem tylko, że czasem robiliśmy dziesięć mil dziennie, czasem trzynaście. Ale przeważnie dziesięć. Ówa najlepsza żywność była bardzo zła i od początku drogi wydzielaliśmy sobie porcje. Najsilniejsze psy były również bardzo mizerne i utrzymać je w posłuchu nie było łatwo. Przy Białej Rzece z trzech sani ubyły nam jedne, a uszliśmy dopiero dwieście mil. Ale strata niewielka. Zbyteczne

psy poszły do żołądków psów pracujących.

Ani smużki dymu, ani ludzkiego słowa, dopóki nie dosięgliśmy Pelly. Liczyłem, że dostanę tam żywności i zostawię Long Jeffa, co skamlał już z wycieńczenia. Ale urzędnik placówki w Pelly miał odmrożone płuca, chorobliwie błyszczące oczy i doszczętnie próżną śpiżarnię, pokazał nam też równie pustą śpiżarnię misjonarza i jego świeży grób, przywalony kamieniem dla ochrony przed psami. Do Pelly schroniła się garstka Indjan, lecz dzieci i starych nie było wcale i wiedziałem, że niewielu z nich doczeka wiosny.

Ruszyliśmy dalej z lekkim żołądkiem i ciężkiem sercem, a pół tysiąca mil śniegu i milczenia rozciągało się między nami a Misją Haines, co jest na brzegu morza.

Pora zimy była właśnie najciemniejsza, i pośrodku dnia słońce nie rozświetlało widnokręgu na południowej stronie. Lód jednak stawał się mniej okrutny, a szlak łatwiejszy, gnałem więc psy ostro, krótkie dawałem postoje. Jakem rzekł w Czterdziestej Mili, każdy krok po tym szlaku trzeba było torować nartami po raz pierwszy. Narty znużyły nam nogi, co poranione i zziębnięte nie chciały się goić. Odmrożenia były z dniem każdym gorsze, tak, że co rano, przy uwiązywaniu nart, Long Jeff płakał z bólu jak dziecko. Kazałem mu torować drogę przed najlżejszemi saniami, ale wyślizgiwał się z nart dla własnej wygody. Droga więc leżała nietorowana, a mokasyny Jeffa, pogrążając się w śnieg, zostawiały za sobą doły, w które potem zapadały psy. Niezwykle łatwo jest połamać w ten sposób kości psom, idącym w zaprzęgu, to też Jeff czynił podle. Przemawiałem doń ostro, obiecywał poprawę i natychmiast łamał słowo. Wobec tego dostał batem po grzbiecie, poczem psy nie zapadały się już

więcej.

Mężczyzna ten był dzieckiem, słabem od tłuszczu i nieumiejącem cierpieć.

Ale Passuk! Podczas gdy mężczyzna leżał przy ognisku i płakał, kobieta gotowała, nad ranem pomagała zaprzęgać, wieczorem rozprzęgać psy. Ona też żywiła je i ochraniała. Zawsze szła na przedzie, unosząc starannie narty opatrzone błonami i udeptując drogę. Passuk — jakże mam powiedzieć? uważałem za rzecz zwykłą, iż wszystko to robi kobieta i nie myślałem więcej na ten temat. Głowę zajmowały mi inne sprawy i zresztą młody byłem i cóż wiedzieć mogłem o kobiecie? Dopiero później, patrząc wstecz — zrozumiałem.

Mężczyzna był już zupełnie bezużyteczny. Psy były słabe, lecz stale jechał na sankach, jak tylko zdołał pozostać w tyle. Passuk oznajmiła, iż woli wziąć jego sanie i pozwolić mu iść luzem. Rano, wydzieliłem uczciwie jego porcję żywności i zostawiłem ją na drodze. Mógł iść, jak sam zechce. My zaś z kobietą zwinęliśmy obóz, upakowali sanie i zaprzęgli psy. O południu, kiedy słońce zakpiło z nas znowu, dognaliśmy Long Jeffa ze łzami zmarzniętemi na policzkach i minęliśmy go. Wieczorem rozłożyliśmy obóz jak zwykle, oddzielając uczciwie porcję Jeffa i rozkładając dla niego futra do spania. Rozpaliliśmy też wielkie ognisko, żeby mógł widzieć zdaleka. Po kilku godzinach dowlókł się, zjadł swoje, jęcząc, i zasnął. Nie był chory. Był tylko znużony, wycieńczony szlakiem i słaby z głodu. Ale Passuk i ja byliśmy również znużeni, wycieńczeni szlakiem i słabi z głodu. I spełnialiśmy przecie całą pracę, on zaś żadnej. Posiadał zato pas tłuszczu, o którym mówił brat nasz, Bettles. W dalszym ciągu dawaliśmy Jeffowi codziennie uczciwie jego część

żywności.

— Dnia pewnego spotkaliśmy dwa widma, wędrujące przez ciszę śniegów. Byli to dwaj biali. Mężczyzna i mały chłopak. Lód załamał się na jeziorze La Barge i pochłonął ich obfity dobytek. Teraz każdy niósł tylko jedną derkę na plecach. Nocami rozkładali ognisko i tulili się przy nim do rana. Pozostało im jeszcze trochę mąki. Zaparzali ją gorącą wodą i pili. Mężczyzna pokazał mi osiem kubków mąki: wszystko co mieli, prócz dwustu mil śnieżnego szlaku do Pelly, nawiedzonego śmiertelnym głodem. Mówili, że za nimi idzie Indjanin, ich towarzysz. Podobno dzielili się z nim uczciwie, lecz tamten ustał pierwszy. Nie uwierzyłem. Gdyby dzielili się uczciwie, Indjanin nie byłby ustał pierwszy. Żywności dać im nie mogłem. Próbowali ukraść psa, najgrubszego, który był zresztą chudy jak kość, ale wymierzyłem rewolwer w ich twarze i kazałem iść precz. I poszli precz, jak pijani, poprzez ciszę śniegów, ku głodnemu Pelly.

Miałem teraz jedne sanie i trzy psy — skóra i kości. Wiecie, że kiedy drzewa jest mało, ogień pali się źle, a izbę ogarnia zimno. Tak było z nami. Głodnych mróz szarpał ostrzej i poczernił twarze, że nie poznałaby nas rodzona matka. I nogi były w ranach. Codziennie, wyruszając w drogę i przypasując narty, pociłem się z wysiłku, dusząc w sobie krzyk bólu, który mnie dławił. Passuk nie wydała jęku. Obcy mężczyzna skamlał.

Przy Trzydziestej Mili rzeka była wartka i prąd poprzegryzał masę lodu pod spodem, pełno więc było rozpadlin, wyrw, a nawet otwartej wody. Któregoś dnia Long Jeff, który wcześniej opuścił postój, zatrzymał się, by poczekać na nas przy jednej z takich przeręblі. Pomiędzy nim a nami stała otwarta woda. Jeff

przebył ją po pasemku otaczającego lodu. Lecz dla sani przejście to okazało się zbyt wązkie. Wynaleźliśmy więc pomost z cienkiej kry. Passuk była lekka, toteż poszła pierwsza, trzymając się żerdzi, rzuconej z brzegu na brzeg na wypadek, gdyby się lód załamał. Lekka była, narty miała szerokie, więc przeszła szczęśliwie. Wtedy zawołała psy. Te jednak nie miały nart, ani żerdzi, załamały się więc natychmiast i w oka mgnieniu zniesione zostały pod lód. Drugie sanie trzymałem w miejscu, ale pęknięcie doszło do nich w jednej chwili i również zawaliły się wraz z psami. Zwierzęta nie były tłuste co prawda, ale liczyłem, że starczą na jakiś tydzień, — teraz przepadły.

— Następnego rana rozdzieliłem całą posiadaną żywność na trzy części. Oświadczyłem też Jeffowi, że może iść z nami lub osobno, jak uważa. Szybko pójdziemy teraz, gdyż nie mamy ładunku. Na to Jeff podniósł głos i spróbował narzekać na poranione nogi, a nawet mówić coś o solidarności i koleżeństwie. Nogi Passuk i moje były jeszcze gorzej poranione, pracowaliśmy bowiem za siebie i psy. Zresztą było to widoczne. Long Jeff przysięgał, że prędzej umrze, niż pójdzie dalej. Wobec tego Passuk wzięła jeden futrzany wór do spania, ja zabrałem garnczek i siekierę i mieliśmy wyruszyć. Ale Passuk spojrzała na część żywności, oddzieloną dla tamtego i rzekła: — Nie dobrze jest marnować żywność dla niedołęgi. Niech lepiej umrze. — Potrząsnąłem głową i odparłem: — Nie, kto raz był kolegą, kolegą zostaje na zawsze. — Lecz kobieta poczęła mówić o towarzyszach z Czterdziestej Mili. Było tam wielu dzielnych mężczyzn, a wszyscy czekali żywności, którą przysłać im mamy wczesną wiosną. Raz jeszcze powiedziałem „Nie". Wtedy błyskawicznie wyrwała rewolwer z za mego pasa i, jak

mówił Bettles, Long Jeff przeniósł się przed czasem na łono Abrahama. Skarciłem za to Passuk, lecz nie okazała żalu, bo go nie czuła. Ja zaś w głębi serca wiedziałem, że miała rację.

Charley z Sitki ucichł i dorzucił parę bryłek lodu na patelnię. Podróżni milczeli i zimny dreszcz przeszywał ich plecy na dźwięk przejmującego wycia, którym zmarznięte psy dawały wyraz swej nędzy.

Dzień po dniu mijaliśmy z Passuk miejsca nocnych obozowisk obu widm i czuliśmy coraz wyraźniej, jak dobrą będzie chwila dotarcia do Słonej Wody. Pewnego dnia natrafiliśmy na Indjanina, co również posuwał się jak widmo z twarzą zwróconą ku Pelly. Mówił, że tamci dwaj nie dzielili żywności sprawiedliwie, wobec czego już od trzech dni nie posiada mąki. Co noc gotuje w garnczku strzępki mokasynów, co rano je zjada. Ale z mokasynów zostało już niewiele. Indjanin pochodził z rodzinnych okolic Passuk i mówił tym samym co ona narzeczem. Był obcym w dolinie Yukonu i nie znał drogi, lecz twarz miał zwróconą ku Pelly. Jak to daleko? Dwa sny? Dziesięć? Sto? Nie wiedział, lecz szedł ku Pelly. Zbyt daleko byłoby powracać. Mógł już tylko iść naprzód.

Nie prosił o mąkę, bo widział, że sami jesteśmy napół żywi. Passuk spoglądała to na niego, to na mnie w rozterce, niby kuropatwa, której małym zagraża niebezpieczeństwo. Zwróciłem się więc do niej i rzekłem: — Tego człowieka obdzielono nieuczciwie. Czy mam dać mu część naszej mąki? — Ujrzałem, że oczy jej zalśniły od nagłej radości, lecz potem długo patrzała to na mnie, to na tamtego, nareszcie wyrzekła z twarzą zaciętą i bolesną: — Nie. Słona Woda jeszcze daleko, a śmierć blisko. Niech lepiej zabierze obcego człowieka,

a pozwoli przejść spokojnie mężowi memu, Charley. — Tak więc Indjanin odszedł ku Pelly, poprzez milczenie i śniegi. Tej nocy Passuk płakała. Dotychczas nigdy nie widziałem jej płaczącej. I nie dym ogniska był winien, bo drzewo mieliśmy wilgotne. Dziwiłem się więc temu smutkowi i myślałem, że jej serce kobiece zmiękło z bólu i wysiłku w ciemności obcego szlaku.

Dziwną rzeczą jest życie. Myślałem o tem często, rozważałem długo i z dniem każdym niezrozumiałość życia nie zmniejsza się, lecz rośnie. Skąd ta ludzka tęsknota ku życiu? Poco? Jest ono grą, w której nikt nie wygrywa. Żyć — to pracować krwawo i dotkliwie cierpieć, dopóki Starość nie zdławi i nie przywali tak ciężko, że ręce człowiecze opadną bezwładnie na zimny popiół martwych ognisk. Trudno jest żyć. W bólu chwyta niemowlę pierwszy swój oddech, w bólu oddaje starzec oddech ostatni. A dni wszystkie pełne są troski i smutku. Lecz człowiek zdąża w otwarte ramiona Śmierci, padając i potykając się, z głową wstecz zwróconą, walcząc do ostatka. A przecie Śmierć jest dobra. Tylko Życie i sprawy Życia zadają ból. Życie jednak kochamy — nienawidząc Śmierci. To bardzo dziwne.

Nie wiele mówiłem z Passuk podczas naszej wędrówki. Nocami leżeliśmy w śniegu, jak trupy, o poranku ruszaliśmy w drogę, jak widma. Wszystko wokoło było umarłe. Nie spotykaliśmy ptarmiganów, ani wiewiórek, ani królików — żadnej żywej istoty. Rzeka milczała w białych okowach. Sok zastygł w drzewach. Mrozy zwiększyły się znowu. Nocami gwiazdy wielkie i bliskie mrugały i tańczyły po niebie. A w dzień drwiły z nas słońca, dużo słońca bowiem oglądaliśmy nad sobą. Powietrze iskrzyło się i migotało, a śnieg leżał niby piasek z djamentów. Ani dźwięku, ani drgnienia, mróz tylko gorzki

i cisza jak otchłań. Mówiłem już, że my, widma, wędrowaliśmy w śnie półprzytomnym i nie liczyliśmy czasu. Jeno twarze mieliśmy zwrócone ku Słonej Wodzie, myśli wytężone ku Słonej Wodzie, nogi ku Słonej Wodzie niosące. Obozowaliśmy przy Tahkeena, nie wiedząc gdzie jesteśmy. Doszliśmy do Białego Konia, ale oczy nasze go nie spostrzegły. Stopy dotarły do przejścia Canjon, ale nie czuły tego. Wogóle nie czuliśmy nic. Zato często padaliśmy na drodze, uparcie zwróceni twarzą ku Słonej Wodzie.

Nadeszła ostatnia porcja żywności i podzieliliśmy ją uczciwie. Passuk jednak padała częściej, aż przy Jelenim Rozstaju — skończyły się jej siły. Spoczęliśmy więc razem pod jedną futrzaną derą i przestaliśmy wybierać się w drogę. Postanowiłem zostać i spotkać Śmierć razem z Passuk; teraz bowiem byłem już stary i pojąłem miłość kobiety. Pozostało tylko osiemdziesiąt mil do Misji Haines i do wielkiego Chilcoot, co leżał za lasem olbrzymich jodeł, rzucających swe czuby na pierś burzy. Passuk mówić poczęła cichutko, trzymając me ucho przy wargach swoich, żebym dobrze słyszał. I teraz, kiedy nie bała się mego gniewu — wypowiedziała całe swe serce. Mówiła o miłości i o wielu rzeczach, których nie rozumiałem dotychczas.

Mówiła: — Jesteś mężem moim Charley, ja zaś byłam ci dobrą żoną. Przez wszystkie dni rozpalałam twe ognisko, gotowałam żywność, karmiłam psy, pracowałam przy żerdzi i wiośle. Nie skarżyłam się nigdy. Nie płakałam, iż więcej ciepła było w szałasie mego ojca, ani więcej żywności w rodzinnem Chilcat. Mówiłeś — ja słuchałam. Kazałeś — byłam posłuszna. Czyż nie tak, Charley?

Odrzekłem: — Tak było.

Na to ona: — Kiedy przyszedłeś do Chilcat i, nie spojrzawszy nawet, kupiłeś mnie jak psa, każąc iść za sobą — serce moje stwardniało dla ciebie, pełne trwogi i goryczy. Ale to dawno. Potem dałeś mi dużo dobroci, jak dobry pan dobremu psu. Serce twoje pozostało zimne i nie miało dla mnie miejsca. Pomimo to postępki twoje były sprawiedliwe, a podział w podróży uczciwy. Widziałam, jak spełniałeś śmiałe czyny i szedłeś wprost ku niebezpieczeństwu. Porównałam cię z mężczyznami plemion mi znanych i zrozumiałam, że stoisz wpośród nich sam jeden, pełen honoru, z mową uczciwą i mądrem słowem. Serce moje wezbrało dumą i z dniem każdym wypełniałeś je bardziej, myśli moje biorąc na własność. Stałeś się, jak słońce pośrodku lata, gdy złota jego droga biegnie szerokiem kołem i wcale nie opuszcza nieba. Kiedykolwiek i gdziekolwiek padło spojrzenie moich oczu — spotykało słońce. Lecz serce twe pozostało zimne, Charley, i nie było w nim miejsca dla Passuk. — Rzekłem: — Tak. Było zimne i nie miało miejsca dla ciebie. Ale to już przeszło. Teraz serce moje jest jak śnieg na wiosnę, kiedy powraca słonko. Przychodzi odwilż, roztopy, szmer wód biegnących cicho, wytryskanie młodej zieleni, pokrzyki kuropatw, dzwonienie skowronków i wielka radosna wrzawa! Bo oto złamana jest zima, Passuk, i pojąłem już miłość kobiety...

Uśmiechnęła się lekko i poruszyła ku mnie; objąłem ją mocniej. Wyrzekła: — Jestem szczęśliwa. — Potem leżała cicho, oddychając łagodnie, głowę złożywszy na mojej piersi. Wreszcie szepnęła: — Tu szlak mój się kończy i jestem zmęczona. Ale przedtem powiedzieć ci chcę rzecz, o której nie wiesz. Dawnemi czasy, kiedy byłam dziewczynką w Chilcat, bawiłam się sama

wśród futer w szałasie mego ojca. Mężczyzni poszli daleko na polowanie, kobiety i chłopcy ćwiartowali zdobycz za osadą. Działo się to na wiosnę. Byłam zupełnie sama. Wielki brunatny niedźwiedź, obudzony właśnie ze snu zimowego, głodny, ze skórą wiszącą w strzępach na chudem ciele, wsunął łeb do szałasu i sapnął „Uff!" Brat mój nadbiegł właśnie z pierwszemi saniami, pełnemi mięsa. Rzucił się na niedźwiedzia, bijąc go głownią, porwaną z ogniska, psy zaś skoczyły z boku, jak stały, w uprzęży i z saniami. Bitwa była wielka i dużo krzyku. Wpadli w ognisko, futra się zapaliły, szałas runął. Ale niedźwiedź padł trupem z palcami brata mego w paszczy. Na twarzy chłopaka pozostały ślady pazurów. Czy zauważyłeś ręce Indjanina, idącego do Pelly? Grzał je przy naszem ognisku — brakowało palcy. To był mój brat. Rzekłam, iż nie należy dawać mu żywności. I głodny poszedł precz — w Milczenie śniegów.

— Oto, bracia moi, miłość kobiety Passuk, co umarła przy Jelenim Rozstaju. Miłość jej była potężna, bo kazała poświęcić rodzonego brata dla obcego mężczyzny, co poprowadził ją ciężkim szlakiem aż do gorzkiego końca. I jeszcze: miłość to była tak wielka, że poświęcić jej kazała samą siebie. Zanim oczy Passuk zamknęły się po raz ostatni, ujęła moją rękę i wsunęła pod swoją kurtę z wiewiórczych skórek, aż do stanika. Dotknąłem małego, mocno ubitego woreczka i zrozumiałem tajemnicę konania. Dzień po dniu dzieliliśmy się sprawiedliwie aż do ostatniego okrucha. I codziennie kobieta jadła tylko pół swojej żywności. Drugą chowała do owego woreczka.

— Mówiła jeszcze: — Nadszedł koniec drogi dla Passuk, lecz twoja droga, Charley, wiedzie dalej, poprzez wielki Chilcoot w dół aż ku Misji Haines i morzu; wiedzie dalej i dalej, pod

światłem wielu słońc, poprzez obce kraje i nieznane wody; pełna jest lat szczęśliwych i rozległej chwały; biegnie ku chatom wielu kobiet, dobrych kobiet, lecz nie zaprowadzi nigdy ku miłości większej, niż miłość Passuk.

— I wiedziałem, że mówi prawdę. Lecz ogarnęło mnie szaleństwo, odrzuciłem woreczek z żywnością, przysięgając, że i moja droga dobiegła końca. Oczy kobiety wezbrały łzami i wyszeptała: — „Pośród mężczyzn był Charley z Sitki zawsze pełen honoru, a słowo jego nie zawodziło. Czyż zapomniał teraz o honorze swoim, że traci czas na próżne słowa przy Jelenim Rozstaju? Czy nie pamięta już Charley ludzi z Czterdziestej Mili, co oddali mu najlepszą żywność i najsilniejsze psy? Passuk zawsze dumną była ze swego męża. Niechże więc Charley wstanie, uwiąże narty i rusza naprzód, by Passuk mogła nazawsze zachować swoją dumę".

Więc kiedy zesztywniała mi w ramionach, wstałem, podniosłem woreczek z żywnością, uwiązałem narty i powlokłem się naprzód. Lecz słabość omotała moje kolana, głowa bolała, szumiało w uszach, a języki ognia tańczyły przed oczyma. Zapomniane drogi z lat chłopięcych powróciły nagle. Siedziałem przy uczcie nad pełną misą, śpiewałem głośno i tańczyłem przy dźwięku pieśni dziewczęcych i biciu w bębny z fokowej skóry. Potem Passuk ujęła mą rękę i poczęła iść u mego boku. Kiedy kładłem się spać — budziła mnie. Kiedy padałem — podnosiła. Kiedy zbaczałem w głęboki śnieg — kierowała na drogę. W ten to sposób, jak człowiek obłąkany, co ogląda dziwne zjawiska, lub myśli lekkie ma od wina — doszedłem do Misji Haines nad brzegiem morza. —

Charley z Sitki odrzucił połę namiotu. Był środek dnia. Na

południowej stronie nieba, ważąc się tuż nad bladą przełęczą Hendersona, lśniło srebrne słońce, jak dysk lodu. Z każdej jego strony pałały dwa złudne słońca. Powietrze było niby pajęczyna roziskrzonego mrozu. Na pierwszym planie, ponad drogą, ogromny wilczar, zjeżony chłodem, ciskał ku niebu przeciągły zew rozpaczy.

Przypisy

[1].Forty Mile.

[2].gee-pole: żerdź, służąca do podpierania się i kierowania przy torowaniu drogi.

Koniec Wersji Demonstracyjnej

Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.

Wydawnictwo Psychoskok